

# DWA BIEGUNY

665

Jesień wietrzna, deszczowa, czasem nosa wyściubić z domu się nie chce, a tu teatry zachęcają, zapraszają. Bliższe i dalsze. Duże i skromne. Jeszcze w połowie października Warszawa (teatralna) drzemała i kisa, a teraz się ożywiła i sezon nabrał rozpędu. Nie tylko zadomowione teatry kuszą, ale i nowe, albo pseudonowe. Zbliża się dzień otwarcia Teatru Powszechnego (po ilu latach wskrzeszony z martwych?) i teatru Kwadrat, a Teatr Nowy (który wyrósł z Teatru Ludowego, ale nawet nazwy nie chciał mieć z nim wspólnej) już nawet wystartował, i to bardzo interesująco.

Teatrom nowym patronuje Mały, też niezbyt dawno otwarty salon teatralno-towarzyski. Modny. Oblegany. Kto nie przychodzi, sam się wyłącza ze sfery. W Małym z nową premierą wystąpił dyrektor Hanuszkiewicz, a że on mistrz adaptacji, to i tym razem objawił się jako reżyser widowiska, które sam wydestylował z powieści nie nowej, ale do dzisiaj poczytnej, przy czym ofiarnie objął też jedną z ról w spektaklu. Stanisława Dygata „Jeziro Bodeńskie” jest powieścią tak znaną („najlepszy Dygat”) i już tyle razy omawianą, że zwalniał się od dodania oceny jej parafrazy scenicznej. Spektakl jest nowym żartem Hanuszkiewicza, może nie tak błyskotliwym, jak oczekiwali wielbicieli, ale Łapicki w głównej roli czaruje, jak zwykle, i z cudownym poczuciem komizmu wygłasza sławny wykład o Polsce. Wichniarz opowiada z werwą anegdotę ziemiańską, Butrym z odrazą udaje zuchwałego kosmopolitę, a Bogucki życzliwie klepie księdza patriotę. Słowem, przegląd różnych postaw. Dygatoskie „rozmyślenia przy goleniu”.

W tle jest wojna, ale nad wyraz dobrodusza, nad Jeziorem Bodeńskim nikt nie myśli nawet o zaciemnianiu nocą domów i pociągów. A hitlerowcy szwejkują i polskiemu kosmopolicie niosą walizkę. W towarzystwie byłoby nietaktem brać siebie i świat serio, a stare obrachunki inteligentkie może nie całkiem zwietrzały. W kuluarach w antrakcie kłaniam się na prawo i lewo. Nawet przeglądając program teatralny czułem się jak ongiś na galowym przyjęciu u nieboszczki ciotki, Heleny Boczarowej, matki doktora Kazimierza Boczara, któregośmy w rodzinie nazywali „Duszą”. Portret popularnego w Krakowie doktora i jego pięknej żony zdobi program Teatru Małego, konkurując z „wiadomościami towarzyskimi”. O sztuce i przedstawieniu mówiono uszczypliwie, pisano pochlebnie (mówili jedni, pisali drudzy, kolizji nie było).

A nazajutrz — inny teatr, inni widzowie, inny klimat, tylko wierni recenzenci ci sami (choć nie wszyscy). Gdzieśmy to zabłądzili? Do Teatru Ochoty, który podkreśla w nazwie, że jest Zawodowy i który w Dzielnicowym Domu Kultury dał już sześć premier, a siódmą jest wznowienie sztuki Marka Domańskiego „Ktoś nowy”.

Kontrasty, kontrasty! Nie tylko atmosferyczne, lokalowe i artystyczne. Nie biorę łokcia, by wymierzyć różnicę talentu pisarza nazwiskiem Dygat od pisarza nazwiskiem Domański. I nic by nie dało porównywanie Machulskiego z Łapickim czy przymierzanie do siebie obu zespołów. To są sprawy ważne, ach, jakże ważne. Ale tym razem chodzi mi o coś innego: o sztukę, wybraną do wystawienia w teatrze przy ulicy Reja i o jej — jak dawniej pięknie mówiono — wydźwięk. To sprawa co najmniej równie ważna jak analizy formalne.

Sztuka Domańskiego, wystawiona po raz pierwszy chyba z dziesięć lat temu, jest niedopracowana, w charakterach osób występujących uproszczona, w przedstawieniu dwóch racji stronnicza — to w ogóle produkcyjniak, jakich wiele przewinęło się w ubiegłych latach przez sceny polskie, nie zostawiając po sobie śladu, a raczej zostawiając pamięć nieprzyjemną. A jednak ten „Ktoś nowy” obiegił teatry całej niemal Polski, wszędzie wywołując dyskusje i spory (lub zgody) z autorem. Zapału do dyskusji nie zabrakło i obecnie na Ochocie. A więc „Ktoś nowy” ocalał i kataklizmy przetrzymał. Jak to możliwe, skoro sztuka, tak ogólnie mówiąc, jest słaba?

Zdziałała ów cud prosta okoliczność: „Ktoś nowy” porusza takie sprawy jak trudności zakładu pracy, konflikt dotyczy najważniejszych społecznie stosunków międzyludzkich. I mówi się o nim prosto, bez uników, wygibasów i aluzji, mówi się realistycznie, zwyczajnie. Widz oddycha z ulgą. Solidaryzuje się lub oburza, ale przede wszystkim docenia, że ktoś zechciał nareszcie rozejrzeć się dookoła niego, widza. Domański upraszcza, zacieśnia, może nawet trywializuje — to prawda, ale przynajmniej dotyka spraw bezpośrednio istotnych dla milionów obywateli. Jego sztuka marnuje najlepsze okazje, traci różne szanse, a konflikt ustawia fałszywie. Ale go przynajmniej porusza. I dlatego, wbrew przewidywaniom, nie przeminęła z wiatrem.

Teatr strojny i teatr zgrzebny. Dramaturgia sław i dramaturgia szeregowych. Czy można się wahać w wyborze? Lecz pytanie jest źle postawione. Idealem byłby oczywiście „Domański na miarę Becketta”. To mrzonka. Nie wierzę nawet, że nam przybieżną z zaścianką socjalistyczny Perzyński, komunistyczna Zapolska. Ale skromny sukces teatru Ochoty cieszy. I nawet, po trosze, krzepi.